

Rozdział drugi

Dawno minęły czasy mających posmak legendy kosmicznych krucjat Styrcydów. Ich dumną rasę trawiła gorączka podróży, spełniali się więc, prac naprzód i zachłannie sięgając po nowe terytoria. Ciągnęli z euforią z planety na planetę, najpierw penetrując rodzimy układ słoneczny, by następnie w fascynujących porywach sięgnąć gwiazd odległych o kilka, kilkanaście i kilkadziesiąt lat świetlnych. Imperium rozrastało się i potężniało, toczyło zwycięskie wojny oraz ujarzmiło słabsze cywilizacje. Związany z postępem nauki wielki technologiczny przełom przyniósł nowe superszybkie krążowniki, zaś wyposażeni w nie Styrcydzi szybko dotarli do granic własnej, a potem sąsiednich galaktyk. Czerń nieba podniecała dzielnych pogromców i triumfalnych zdobywców.

Jednak po stuleciach udanych podbojów szlachetna rasa wyżyła się potrzeby ekspansji, wypaliła się i straciła impet. Zestarzała się, co nieuchronnie przełożyło się na jej oficjalną doktrynę, uznawane systemy wartości i propagowane teorie etyczne. Powstało przeogromne imperium, niemal bez granic, więc podboje już nie nęciły. Styrcydańscy ideolodzy zabrali się zatem za odkurzanie nauk dawnych mistrzów. Wydobywali z lamusa poglądy, wcześniej ze wzgardą odrzucane lub ośmieszane. Głosili, że należy przywrócić to, co uległo zapomnieniu. Odwoływali się do odległej przeszłości i narodzin cywilizacji. To poranek dziejów się liczył, nie ich zmierzch. W rezultacie tego zaczęli poddawać w wątpliwość sens podróży kosmicznych. W zreformowanej ontologii zmiana była czymś wtórnym, mniej doskonałym od świętej flauty, od wszechwładnego boskiego spokoju, od stanu błogiej i doskonałej równowagi. Ruch był przejawem słabości, wynikiem tłumionego lęku przed źródłem prawdziwej wiedzy i stanowił ucieczkę w iluzoryczne doznania zmysłowe. Szczęścia w podróżach szukali ci, którzy boleśnie ześlizgnęli się na niższy poziom bytowania. Nie należało ich naśladować. Rozległy wszechświat w oczach nowych nauczy-

cieli już nie miał — bezgranicznie jałowy i dziwnie nijaki. Zgodnie z archaicznym mitem o stworzeniu powstał w wyniku katastrofalnej eksplozji boskiego eonu. Szczątki tego doskonałego bytu chaotycznie zarzuciły praprzestrzeń. Kosmos był więc jedynie rozszerzającym się śmietniskiem, cieniem nieistniejącego już świata wiecznych idei. Tworzyły go bezkresne mroźne pustki ze znaczącymi się tu i ówdzie — niby samotne wyspy — żenująco ubogimi śladami życia organicznego. Nie było w nim czego szukać. Dostojny mędrzec nie wybierał się więc w drogę. Nie pędził przed siebie na łeb na szyję, ale wiódł spokojny żywot w rodzinnej enklawie, w zaciszach ogrodów oddając się medytacjom nad tym, co godziwe. Odpowiedzi na pytanie o sens życia kryły się bowiem nie w bezbrzeżnej dali, ale w nim samym, w umyśle oraz w sferze uczuć i pragnień. W duszy światłego Styracydy znaczyły się przebliski boskiego geniuszu, już zgasłego, ale wciąż jeszcze przenikającego naturę wszechrzeczy.

— Wszystko jest marnością. Z prochu powstało i do prochu wraca... — w zadumie szepnęła Kimi. — Tylko drżąca myśl się liczy. I ten zadziwiający rytm, związany z oddechem oraz regularnym biciem serca.

Dobrze знаła to miejsce, więc nie spodziewała się, by na mieszczącej się na dnie paroli quasi-stacji przywitał ją ożywiony ruch. Nie omyliła się, bo wybierających się w podróż można było właściwie policzyć na palcach. Kilku tajnych agentów w mylących kombinizonach służby porządkowej kręciło się leniwie wokół czarnego prostokąta jednego z przejść międzygwiazdnych. Domyśliła się, że urządzili zasadzkę na parającego się przemytem naiwnego Sambitę. Ostatnio niepozberani przedstawiciele tego gatunku szmuglowali na kosmicznych szlakach. Szósty zmysł jej podpowiedział, że ten oferma jak nic wpadnie im w łapy. Jeśli ktoś chciał zajmować się kontrabandą, powinien być jak ognia unikać najważniejszych parol. A szczególnie tej nobliwej, z numerem pierwszym, w której troska o ład była oczkiem w głowie Najwyższej Rady. W rozciągniętym na setki gwiazdozbiorów imperium nie było trudno o stosunkowo bezpieczne punkty przerzutowe i kto był cwany, mógł sobie dorobić na boku z myślą o wyższym standardzie życia i niedostępnych dla ogó-

łu przyjemnościach.

Przy wylotach do najbardziej odległych galaktyk świeciło pustkami. Ujrzała tam tylko dwóch dystyngowanych Geomonów, którzy dumnie kroczyli, nie zwracając na nią uwagi. Za nimi cicho sunął automat z bagażami. Zamieszkujący prawie wszystkie parole przedstawiciele tej osobliwej rasy raz do roku pielgrzymowali do miejsc, z których się wywodziły ich symbionty, z czym wiązały się wyrafinowane rytuały. Opuściła smętny hol, nie wiadomo dlaczego tak wielki i udała się w stronę pomieszczeń obsługi, mijając jeszcze po drodze trzech pokrytych gęstą szczeciną Rodontów i uroczą Marokitkę. Tej ostatniej dyskretnie się przyjrzała, podziwiając jej niezwykłą kreację. Pierwszy raz taką widziała i przyszło jej do głowy, że w podobnej sama też by się nieźle prezentowała. I pewnie w niej spodobałaby się Mitosowi.

W otoczonym niską balustradą i wypełnionym parującą błotnistą mazią basenie kąpał się stwór, przypominający alifaratana. Kłęby mgły go przysłaniały, jednak domyśliła się, że trafiła na Sarofa. Ten, gdy tylko dostrzegł swego gościa, szybko wy dostał się na brzeg. Ależ on wyglądał? Człapał, pozostawiając mokre ślady. Skórę miał pomarańczowo-żółtą, z charakterystycznymi czarnymi cętkami, łapy mocne, postawę wyprostowaną, a w razie potrzeby podpierał się sporawym ogonem. Nie pojmowała, co widział w tych zwierzęcych kształtach. Z drugiej strony patrząc, powinna była go rozumieć. Były gatunki, które nie umiały obyć się bez wody.

Przebrnął przez kabinę oczyszczającą, która zmyła z niego szlam. Przyjął pozycję prawie na baczność, zatrzymując się tuż przed nią zgodnie z wymogami regulaminu. Nie przestraszyła się jego smoczego pyska. Zaraz też przeszedł na spocznij i liznął ją przyjaźnie długim jęzorem. Musiała uważać, żeby na jej twarzy nie pojawił się wyraz obrzydzenia. Starła się nie okazywać, że nie lubi takich powitań. Ich dyżury operacyjne zbiegały się ze sobą, więc dobrze pamiętał jej imię.

— Kogo ja widzę, piękna Jenarekitka, Kimi, we własnej osobie, jak miło! Prawdziwy z ciebie pędziwiatr. Dokąd tym razem? — chrypliwym głosem zapytał, nie kryjąc niekłamanego zainteresowania. — Gdzieś na krańce świata?